

KULTURA

00-902 Warszawa, ul. Wiejska 12

wydanie

27

5-07-81

Nr

kuchnia polska

Czy męczy nas głupstwo?

W sztuce Petera Shaffera „Amadeusz” mówi się w pewnym momencie, że potomnym — czyli nam — przedstawiono muzyków Oświecenia jako służalców dworu, którzy na zamówienie i w lansadach komponowali oświeconym władcom i książętom symfonie, opery i menuety. Tymczasem, jak tłumaczy autor sztuki przez usta Salieriego, rzecz miała się dokładnie na odwrót: to królowie urządzali bale, polowania, śluby i wojny, do których genialni muzycy baroku układali muzykę, to władcy i dwory tworzyli teatr życia, dla którego artyści nie tyle komponowali „oprawę muzyczną”, jak mogło to się wydawać na pozór, lecz czerpali zeń — przy wszystkich pozorach uniżoności po prostu inspirowanie dla swojej sztuki.

Myślę, że jeśli nie zgodzimy się z tym wyjaśnieniem nie zrozumiemy nigdy tej pogody, wdzięku i dystansu, które przeżywamy u Haendla, Mozarta, Haydna. Dziś, po stuleciach, muzyka tych wielkich mistrzów każe nam myśleć o tepych często pwszałkowatych lub pretensjonalnych strapach jako o ludziach pełnych inteligencji i polotu, lecz to nie oni naprawdę stworzyli tę muzykę na swój obraz i podobieństwo, tylko muzyka stworzyła ich: jedynym dowodem ich dalekowzrocznej inteligencji było tylko to, że trzymali przy sobie genialnych muzyków.

Ten felieton chciałem skierować głównie do znanych mi i nie znanych artystów i widzów współczesnych zarówno tych, którzy trafiliwszy na salę Teatru na Woli w Warszawie mieli szczęście uczestniczyć w tym wspaniałym i pogodnym przedstawieniu „Amadeusza” Shaffera, które z udziałem Tadeusza Lomnickiego wyreżyserował Roman Polański, jak i do tych, którym to się nie udało. W przedstawieniu tym bowiem, będącym perłą teatralnego sezonu nie tylko na skalę warszawską czy polską, mówi się rzeczy na tyle ważne, a zarazem na tyle aktualne — mimo że sprawa dotyczy czasów i osoby Wolfganga Amadeusza Mozarta — że warto się nad nimi głębiej zastanowić. Mówi ono o stosunku życia do sztuki.

Przed paroma tygodniami wzruszył mnie szczerze Andrzej Oseka, kiedy napisał, że z niepojętych dla siebie samego powodów odczuł nagle potrzebę bezinteresownego piękna i spędził godziny nad nowo wydanym albumem Poussina. Oseka tłumaczy to sobie przygnębieniem czy też poczuciem odrzy, jaką wywołuje w nim pleniące się u nas głupstwo, zwłaszcza w wydaniu antysemitycznym, sztuka Poussina więc ma być rodzajem oczyszczenia. Znów zaczynam lubić Osekę za to wyznanie, poszerzyłbym jednak rozmiary głupstwa, z którego należy się oczyszczać. Tak naprawdę jest to bowiem zarówno głupstwo antysemityczne, jak i filosemityczne, odnowowe i twarde, egalitarne i woluntarystyczne. Chodzi po prostu, jak się wydaje, o to, że w ostatnich czasach — a może i długo przed tym — zagubiony został u nas właściwy stosunek sztuki do życia, właściwa proporcja między tym, co jest wymiarem codziennym, a tym, co jest wymiarem artystycznym naszej egzystencji.

Zyjemy w czasach posępnych, bez uśmiechu i, szczerze mówiąc, nie bardzo jest się z czego śmiać. Nie ośmielę się też twierdzić, że tematy

i postawy, które tak lekko wymieniałem przed chwilą, są sprawami bagatelnymi — od nich w końcu zależy jak i czy będziemy żyć w tym kraju. Równocześnie jednak możliwość znoszenia tych napięć, których dostarcza nam rzeczywistość, a także możliwość wyciągnięcia z nich jakiegokolwiek — poza całkiem doraźnymi — wniosków zależy od tego, jaką będziemy mieli sztukę, jak zachowują się artyści.

Dotychczas, trzeba przyznać, zachowują się oni okropnie. Większość z nich wzięła sobie za punkt honoru, aby zdyszeni biec za wypadkami, multiplikować ich odgłos, powielać to, co niesie gazeta, zebranie, dialog w kolejce po papierosa. W najlepszym wypadku ograniczają się oni do dokumentacji zdarzeń i dokumentację przedstawiają się dumnie jako dzieło sztuki. To prawda, że jak dotychczas robią to przeważnie ludzie nieuzdolnieni, ale kiedy trafi się nawet ktoś z prawdziwym talentem to on również uważa za swój obowiązek „przydeptać gardziel pieśni”, aby rzekomo sprostać w ten sposób wymaganiom chwili. To aż zabawne, ilu teraz, po latach, odnalazło się entuzjastów postawy estetycznej socrealizmu, mimo że przecież nie przyznaliby się do tego za żadne skarby świata.

Tymczasem, jak uczy nas tego Shaffer (a także uczy Polański z Lomnickim wystawiając z wdziękiem, lekkością i ukrytą intencją „Amadeusza” w Teatrze na Woli, który notabene właśnie ma upaść), sprawa polega na czymś dokładnie odwrotnym. Polega na tym, że obowiązkiem sztuki jest nie tyle oderwanie się od „teatru życia”, ale zrozumienie, że z tego teatru zostanie tylko tyle i tylko to, co twórczość artystyczna zdoła zeń zauważyć i przetworzyć na wartość wyższą. Proch już nie został nawet z łodzi, którą król angielski płynął w roku 1715 po Tamizie, lecz została „Wassermusik” jako relacja z tej przejażdżki. Ale co tam w końcu wieczność, nie o wieczność chodzi! Chodzi o to, że jednowymiarowy, dosłowny, a często wręcz prawdziwie służalczy stosunek sztuki do aktualności w żadnym stopniu nie pomaga żyć współczesnym. To prawda, że rozpała w nich i nasila te same troski i namiętności, które gnębią ich na co dzień, ale nie pozwala im niczego się z tych namiętności nauczyć.

Człowiek przeżywa historię, bo musi, bo nie ma innego wyjścia. Chodzi jednak o to, aby owo przymusowe przeżywanie wszelkich „ciekawych czasów” było przynajmniej korzyścią ludzkiej osobowości. Tę korzyść w postaci lepszego rozumienia świata, ludzi i samego siebie, może dać człowiekowi tylko sztuka. McLuhan, coraz szybciej zapadający się w niepamięć prorok nowoczesnych środków ludzkiego porozumienia, nazywał sztukę „anty-środowiskiem”, to znaczy punktem, z którego możemy naprawdę zobaczyć środowisko, które nas otacza. Nie po to, aby się wobec niego zdystansować, „szukać zapomnienia”, uciekać; myślę, że jesteśmy wszyscy przeciwko sztuce eskapistycznej i jeśli Oseka, chcąc się uwolnić od agresji głupstwa, pochyla się nad Poussinem, a ja czynię to samo przeżywając dzieje i muzykę Mozarta w teatrze, to jedynie dlatego, że nie mamy innego wyboru.

Naprawdę zaś powinno chodzić o to, aby w utworze artystycznym przejrzała się chwila współczesna, ale nie tak jak w kabarecie, będącym cytatem z gazety, nie tak jak w filmie, będącym kroniką wypadków, nie tak jak w powieści, będącej reportażem. Osekę, mnie i nas wszystkich męczy nie chaos i głupstwo życia, które istniały zawsze, w każdych czasach, tylko brak miejsca, z którego to głupstwo widać we właściwej proporcji. Z którego widać też na ile, pokonując głupstwo, stajemy się mądrzejsi. Jeśli się stajemy, oczywiście.

KTT